Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 9 SIERPNIA 1924. Nr 48.

Po dziesięciu latach.

Gdyby rocznice, podobnie bielonym przy drogach kamieniom, nie znaczyły biegu czasu, czyż możnaby odczuć iż w dniu zlotu orląt legjonowych pod skrzydła swego Wodza na błoniach lubelskich, upływa lat dziesięć od tego niezapomnianego świtu, który ujrzał wyłaniających się z mroków nocy pierwszych żołnierzy polskich, idących budzić w sercach rodaków rewolucyjny zew do walki o wolność, o niepodległość Ojczyzny i dać tej walki przykład heroiczny, niezapomniany, wiekopomny.

Dziesięć lat.

Ale tak była niespożyta siła młodości tego szaleńczego wyzwania rzuconego radośnie śmierci, z której narodzić się miała Polska, że po dziś dzień jest on żywym symbolem i ideą przewodnią codziennej walki obozu, w łonie którego czyn legjonowy się począł, ideą poświęcenia bez granic i ofiar bez szemrania na ołtarzu „Tej co nie zginęła", ideą wielkiej czystości moralnej wobec wielkiej sprawy, ideą pogardy dla słabości, sobkostwa, kunktatorstwa, tchórzostwa i sklepikarstwa moralnego.

I dzisiaj, po dziesięciu latach od dnia zerwania łańcucha niewoli, zbierają się ci sami twórcy i dzieci tego czynu, zbiera się najistotniejsza arystokracja narodu, sól Polski, zbiera się rycerstwa polskiego ozdoba przewspaniała — w siermięgach, mundurach, tużurkach i łachmanach, a z nimi Wódz, a wokół

nich korowód duchów z pól bitewnych na apel podążających— na rachunek sumienia ściąga brać spracowana.

Przed ich oczami zozegra się tragiczny pojedynek idei z którą szli budzić i zbudzili Polskę — z przesmutną, wykoślawioną, ślamazarną rzeczywstością polską.

Ducha, który zrodził czyn legjonowy nie stało przy realizacji jego owoców i stąd rozdzwięk pomiędzy wymarzonym na polach bitwy obrazem Polski a jego realnemi kształtami i barwami. To nie idea przekroczyła granice rzeczywistości, lecz rzeczywistość wzięła rozbrat z wzniosłemi hasłami opromieniającemi żołnierski czyn, to społeczeństwo pozostało w tyle za garścią swych wybranych synów — uczniów swego największego wodza i statysty.

Epopeja Legjonów na przestrzeni czterach lat wojny aż po listopad 1918 r. była pierwszym etapem ich wielkiego dziejowego przeznaczenia; za nim przyjść miał drugi, potężniejszy od pierwszego: realizowania idei państwowej w warunkach wytworzonych przez tryumf czynu zbrojnego. Legjony bowiem, przez genjusz swego twórcy i wodza były nie tylko spadkobiercą narodowego ducha rycerskiego, lecz również spadkobiercą wielkiej misji dziejowej Polski — tradycji Jagiellonów, opartej na nowoczesnych metodach jej realizacji.

Po za Piłsudskiem i jego uczniami i współtowarzyszami — powiedzmyż to raz otwarcie — nikt do dnia dzisiejszego nie miał i nie ma jakiejkolwiek, dobrej czy złej, ale pełnej, skończonej twórczej myśli państwowej polskiej, nikt nie czuje ani widzi jasnych szlaków jej przeznaczeń dziejowych.

Po za Legjonami — w szerokim gronie wszystkich ich ideologów—nie było innego czynnika dość wysokiej próby moralnej do przyoblekania tej myśli w żywe ciało realnego bytowania państwowego w heroicznym trudzie codziennej mozolnej walki z przeciwieństwami przez los obficie w umysłowości społeczeństwa polskiego i sytuacji światowej posianemi.

A jednak w tym drugim etapie przeznaczenia wypadło nam doznać częściowej porażki. Nie ukrywajmy tej prawdy i nie oddawajmy się zgubnym złudzeniom, jakoby tak jak jest było znośnie; nie poddawajmy się również niszczycielskiej sile zgorzknienia, z której rodzi się bezwład lub myś! szaleńcza i zgubna. Strzeżmy się przekroczenia dozwolonych przez rację stanu granic radykalizmu w gniewie i nie odstępujmy od sztandaru idei, której danem było doznać próby chwilowego niepowodzenia.

To nie sztandar, a ludzie okazali się niedoskonali i tych ludzi trzeba ocknąć z letargu, i natchnąć świeżą ożywczą siłą do walki. Trzeba wyjść z orbity rozpamiętywań przeszłości i wziąć się za bary z rzeczywistością; trzeba zerwać z zasadą szlachetnej izolacji i wejść szerokim krokiem w życie; trzeba skondensowany ekstrakt legjonowego ducha wpuścić w anemicz-

ny organizm społeczny, trzeba mnożyć siły do walki o ideę bez której państwo w naszych oczach od roku z górą toczy się po wyboistej drodze straszliwej przypadkowości, dla umiejących patrzeć pełnej widocznych niebezpieczeństw i złowrogich zasadzek.

Lecz przedtem trzeba wzmocnić podstawy karności i odpowiedzialności w szeregach.

Przerwijmy frapujące rozpamiętywania lat minionych i zażądajmy od naszych mężów stanu i polityków rachunku sumienia z ich czynów za rok ostatni. Czego dokonali w Sejmie, na fotelach ministerjalnych, na szachownicy gry politycznej? — niech odpowiedzą na pytanie, które się błąka od krańca do krańca Polski i daleko po za jej granicami: dlaczego nie zdobyli się na siłę podjęcia decydującej walki o powrót Marszałka Piłsudskiego do steru życia państwowego, bez czego nie może być mowy o przywróceniu Polsce autorytetu i bezpieczeństwa, o jasnej przyszłości, budowanej na niewzruszonych podstawach jej misji dziejowej.

W tej płaszczyźnie musi nastąpić rachunek sumienia i osąd.

Po latach dziesięciu trzeba uporządkować szeregi, tam gdzie trzeba, zmienić szarże i iść naprzód naprzód i tylko naprzód. *W. Stpiczyński.*

Hasło.

Są nazwiska—sztandary. Do takich w przeszłości należą nazwiska Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Józefa Poniatowskiego i Kościuszki.

Ze współczesnych ten szczyt osiągnęło jedynie nazwisko Józefa Piłsudskiego.

Wprawdzie szumią jeszcze dookoła i gramolą się na wyżyny rozmaite ambicje, lecz... gdy milczy Dzwon Zygmunta lada brząkadła u błazeńskiej czapeczki wydają się dla najbliższego otoczenia nieraz zwycięską orkiestrą.

Skoro jednak Dzwon zabrzmi, wsłuchują się z zapartym oddechem w jego spiżowe dźwięki nawet sami błazenkowie. Mieliśmy już takie momenty.

Nie ma człowieka w Polsce, którytby nie znał nazwiska Piłsudskiego, któregoby to nazwisko nie zmuszało do namysłu, zastanowienia, świadomego rzutu oka na to, co się dokoła niego dzieje, na radość z tryumfów lub lęk o jej przyszłość...

I czy dobrze, czy źle on narazie myśli o noszącym to nazwisko... budzi ono, musi w niem budzić obywatela...

Żadne inne nie czyni tego.

Pamiętam, kiedy po aresztowaniu Komendanta musiałem sam uciekać przed grożącym mi uwięzieniem i przedzierając się przez granicę niemieckiej okupacji szedłem lasami i pola-

mi w okolicach Kazimierza. Były żniwa, czas gorącej pracy, mimo to żniwiarze, kobiety i mężczyzni spotykały mię i domyślawszy się, że jestem z Warszawy, porzucali roboty i biegli ku mnie tłumami, pytając: czy to prawda, że Piłsudski aresztowany i co to znaczy?...

Po raz pierwszy może od początku wojny w ich umysły i serca znękane rozmaitemi „orjentacjami" szedł promień zrozumiałej, jasnej i godnej ofiary...

Pamiętam znowu w Poznaniu późną nocą na przystanku tramwajowym zaczepił mię jakiś starszy rzemieślnik i dowiedziawszy się, że jestem z Warszawy pytał z żalem i bólem: czy znam Piłsudskiego i dla czego „ten zły człowiek chce ich pozbawić mienia, religji i nawet żon?".

A teraz niedawno w Szczawnicy, szukając po rozmaitych zakątkach wspomnień wczesnej młodości, trafiłem na spacerującego drogą górala. Rozgadaliśmy się, był w bitwie pod Limanową i służył w czeskim „regimencie". Spytałem go: czy słyszał o Piłsudskim? Zaniemówił na chwilkę z oburzeniem w twarzy, potem zdjął czapkę i rzekł: „Ja bych nie słyszał? Przecie to wielgi człowiek, — Nasz Ociec!..."

O Piłsudskim wie i ze szczególnym akcentem wymawia jego nazwisko i odcięty błotami od świata poleszuk i wrogi nam litwin i niemiec śląski i śląski powstaniec i kaszub i mazur warmijski i hucuł i rusin. Jak szeroko sięga państwowa myśl polska, brzmi to nazwisko jako najwyższy, najszczytniejszy jej wykładnik.

Bo dźwięczy w nim dla wszystkich czynna duma i godność narodowa, wielka odwaga myśli i serca, oraz głęboko ukryta pod trzeźwym sądem *wiara w ostateczne zwycięstwo w człowieczeństwie Człowieka nad ludzkim bydlęciem!...*

Wacław Sieroszewski.

W perspektywie.

Kryzys w Wyzwoleniu, który tak szerokiem echem odbił się w opinji publicznej nie jest zjawiskiem tak małoważnem, by można było nad niem przejść do porządku dziennego po formalnem załatwieniu konfliktu. Znaczeniem swojem wybiega on daleko poza wewnętrzne stosunki Związku Stronnictw Ludowych, poza zagadnienie związane z całością ruchu ludowego. Odpowiedzialności zań nie może też ponosić ani jeden człowiek ani jedno stronnictwo — spada ona bowiem na całokształt naszych stosunków.

Odsłonięta została jedna z zasadniczych bolączek naszej lewicy: brak konsekwentnie wyrobionej, sumiennie wypracowanej ideologji.

Bodaj że nigdy nie było podobnego zaćmienia pojęć politycznych, jak obecnie. Świadczy o tem choćby charaktery-

styczne niezmiernie odezwanie się jednego z pisemek tygodniowych werszawskich pod adresem lewicy, wyrzut, z powodu rzekomego wypierania się p. Skrzyńskiego. Uzdolniony publicysta, który z tym zarzutem wystąpił, zapomniał, że nie tak dawno obóz Stańczyków był przez dzisiejszą lewicę najzacieklej zwalczany, że w tej walce miewała lewica nawet poparcia stronnictwa p. Głąbińskiego. I raczej dziwić się wypada iż lewica znosi p. Skrzyńskiego, niż że za swego go nie uznaje.

Na tle przebrzmiałych orjentacji, na tle ustosunkowania się do pewnych zagadnień międzynarodowych grupowały się nasze stronnictwa i to zaciemniało ich linję wytyczną, ich ideologię, gmatwało ich program, a niejednokrotnie niszczyło konsekwencję.

W warunkach nieustannej obrony państwowości zacierały się niektóre różnice między zachowawcami, którzy w trwałości form obecnych widzą siłę Polski i z konieczności jedynie godzić się gotowi na te, lub inne reformy, z jednej strony, a postępowcami, którzy w nieustannej ewolucji, w ciągłym rozwoju form bytowania politycznego i społecznego widzą rozwój i pomyślność Rzeczypospolitej i ludzkości całej. Dość wspomnieć współdziałanie P. P. S. i K. P. K., aby uświadomić sobie jak nienormalne stosunki panują w naszem życiu politycznem.

Że na tem tle powstają możliwości najpotworniejszych kompromisów—nie trzeba dowodzić. Historja naszego parlamentaryzmu obfituje w nie i daje szereg przykładów, których nie można tłumaczyć sobie jedynie względami na korupcję.

Takie czy inne stanowisko nawet najwybitniejszego działacza ludowego jeszcze nie mogłoby wstrząsnąć do tego stopnia demokracją naszą, gdyby nie przeraźliwy fakt, iż cała demokracja posiada tylko wiejską reprezentację, że demokracja miejska po za stronnictwami robotniczemi poprostu nie istnieje. Na stronnictwo ludowe spada wskutek tego *ipso facto* obowiązek ogarniania zakresu spraw znacznie szerszych niż ten, który właściwie musi ono reprezentować. Rola jego jest u nas bez porównania zaszczytniejsza niż gdzieindziej, ale stronnictwo samo ulega wskutek tego pewnemu zdeklasowaniu, gdyż oprócz własnego gruntu musi oglądać się na inne, niereprezentowane w Sejmie warstwy. Rozpoczyna się polityka teorji, akademickich rozważań — wprawdzie konieczna, ale śliska i wzmagająca nastrój kompromisów.

A to wszystko dzieje się na tle demagogji nacjonalistycznej i niesłychanego ubóstwa myśli politycznej polskiej. Nasze stronnictwa po za Sejmem nie istnieją. Żywimy się nie nauką, nie badaniem doświadczeń i poznawaniem sytuacji, lecz sieczką agitacyjną, preparowaną przeważnie licho i pośpiesznie, z najwyższem dla mas wyborczych lekceważeniem. Opinja publicz-

na nasza uczy się przekonań na wiecach, z prasy codziennej i protokułów izby poselskiej. Nie dziw, że nie umie ona ani w czas coś zrozumieć, ani o czemś wydać sąd samodzielny, ani wreszcie przed czemś ostrec lub czemuś zapobiec.

Oto są przyczyny kompromisów którym demokracja słusznie się przeciwstawiła. Jakie znajdziemy antidotum? Trudno powiedzieć. Dojrzewanie społeczeństw to proces nad którym trzeba dużo pracować. Tego się w jeden dzień, ani miesiąc nie zrobi. Tworzenie ideologji nie odbywa się na rozkaz— to wytężona praca mózgów i serc.

Przeciwko jednemu musimy się tylko zastrzec. Przeciw próbom łączenia w unje różnego rodzaju konserwy z postępem. To zaciemniać tylko może sytuację.

A. Uziembło.

Premierzy i bankierzy.

Ze wszystkich zarzutów stawianych demokracji współczesnej jeden tylko właściwie jest poważny. Jest nim zarzut, że demokratyzacja polityczna, niwelując przywileje krwi i stanowiska nie jest w stanie zniwelować przywieju majątku ruchomego, że jest ona jedynie parawanem, za którym faktycznie rządzi oligarchia finansowa, w której ręku parlamenty są marjonetkami. Twierdzenie to, będące istotą doktryny Maurrasa czy Spenglera ma za sobą istotnie pozory słuszności. Rewolucja 1830 roku była faktycznie rewolucją bankierów przeciwko obszarnikom; Reinachowie w początkach trzeciej Rzeczypospolitej, Caillaux przed samą wojną istotnie reprezentowali anonimowy kapitał wielkich banków, tak samo jak reprezentantem ruchomego kapitału był wielki ideolog demokracji niemieckiej Walter Rathenau; przy najbliższych wyborach w Ameryce demokrację reprezentuje człowiek Wall Sheet, adwokat Morgana, Davis. Wreszcie w chwili obecnej jaskrawym dowodem przemożnego wpływu kapitału jest konferencja londyńska gdzie równolegle z obradami Herriota i Mac Donalda reprezentujących to co jest najlepszego w demokracji światowej, toczą się obrady bankierów, których veto zmusza premierów czasami do kapitulacji.

Ale właśnie ta rozgrywka londyńska wskazuje na to, że drogi demokracji i finansów poczynają się rozchodzić. Pieniądz żądny był swobody politycznej, tak samo jest potrzebny mu był i jest pokój światowy, i dlatego drogi jego biegły równolegle z drogami demokracji, dążącaj do tych samych celów. Z chwilą jednak gdy wspólny cel został osiągnięty, gdy resztki potęg feodalnych zostały przez wojnę światową złamane wspólność interesów ustaje. Realizacja prawdziwej demokracji wymaga tak samo złamania potęgi banków, jak wymagała złamania przywilejów krwi. Już przed wojną Caillaux, przywódca

demokracji francuskiej musiał przeprowadzić podatek dochodowy, przeciwko finansowemu kapitałowi skierowany.

Konferencja londyńska skończy się napewno jeszcze kompromisem między finansami i demokracją, ale kości są rzucone. Dotychczasowi sprzymierzeńcy stanęli wyraźnie po dwóch stronach barykady i najbliższe dziesięciolecia przyniosą nam napewno ostateczną rozgrywkę, która musi się skończyć zwycięstwem demokracji.

W wielkich bowiem zapasach ludzkości w końcu zawsze zwycięża *idea*.

cep.

Rosja sowiecka a świat polityczny.

W chwili obecnej sytuacja międzynarodowa Rosji sowieckiej stała się wyjątkowo korzystną. Anglja, Włochy i niektóre mniejsze państwa już uznały ją formalnie, we Francji zaś stoi na czele rządu propagator zbliżenia do Rosji—Herriot, który w październiku 1922 r. odbył podróż do Moskwy i za powrotem wyrażał w tym przedmiocie daleko idące nadzieje.

Przyczyny tego zwrotu, który jest stanowczą negacją dawniejszego hasła bojkotowego, są proste i zrozumiałe; świat kapitalistyczny nie chce już czekać na upadek sowietów i restaurację rosyjską, przestał wierzyć legendom emigracji z dawniejszego caratu i doszedł do konkluzji, że trzeba brać Rosję taką, jaka jest. Szósta część kuli ziemskiej, obfitująca w różne bogactwa naturalne, nie może pozostać w stanie izolacji—tak czy inaczej kapitalizm światowy musi ją wciągnąć w swe wiry.

To też za przykładem Anglji, która już przed czterema laty zerwała z zasadą bojkotu, a za obecnego gabinetu formarnie uznała sowiety, wszystkie niemal państwa badają stan rzeczy w Rosji i szukają z nią możliwego zbliżenia.

Dyplomacja sowiecka ma więc znakomitą grę i mogłaby w krótkim czasie wprowadzić swe państwo do earopagu światowego, gdyby nie spotykała przeszkód naturalnych w samym ustroju dzisiejszej Rosji, przeszkód, które uniemożliwiają z nią wymianę materjalną i rzeczywiste zbliżenie. Przed kilku laty, gdy Lenin podniósł hasło „elektryfikacji“, gdy zainaugurowano z Kremla nowy kurs ekonomiczny (t. zw. Nep.) mogło się wydawać, że rząd sowiecki daje za wygranę próbom komunistycznym i rewolucyjnym, że idzie świadomie na spotkanie kapitalizmu zachodniego. Na tym gruncie mogło nastąpić porozumienie, które leżało w interesie obu stron. Sowiety, zachowując nawet do czasu swą despotyczną władzę, mogły kapitalizmowi dać instytucje i gwarancje podobne do tych jakie swego czasu dawał mu carat. To była właśnie myśl Lloyd George'a i innych, którzy byli zdania, że na tej drodze najłat-

wiej nastąpi likwidacja sowietów i resztek komunizmu, że wymiecie je niemal automatycznie zwycięski powrót kapitalizmu.

Okazuje się jednak, że partja komunistyczna, która de facto rządzi Rosją, nie chce się wyrzec swych zamiarów i nadziei. Jak wiadomo zapanował obecnie prąd, nawracający ku prawowierności komunistycznej i rewolucyjnej, prąd potępiający poczynania kapitalistyczne. Widoczne bankructwo ustroju komunistycznego w Rosji tłomaczą jego wyznawcy i propagatorowie tem, że tak wielkie dzieło nie jest możliwe dla oddzielnego kraju, otoczonego wrogiemi państwami kapitalistycznemi, że bolszewizm dzieła tego pomyślnie dokona, gdy wywoła powszechną rewolucję i wszędzie rządy kapitalizmu obali. Oczywiście pełnomocnicy sowieccy nie popisują się z podobną ideologją, gdy zabiegają o stosunki z państwami zachodniemi o pożyczkę, ale nie mogą całkowicie ukryć prawdy pod korcem. Nie chodzi zresztą o ideologję, lecz o rzeczy aktualne i praktyczne. Jakież znaczenie może mieć traktat handlowy z państwem, które nie pozwala na handel prywatny. Wszak dla tranzakcji rządowych, dla jednorazowego kupna lub sprzedaży traktat taki jest zgoła zbędny; całe jego praktyczne znaczenie obraca się dokoła tego, czego jeszcze w Rosji niema, co dopiero należy stworzyć i zagwarantować.

Mac-Donald zerwał z dawniejszą scholastyką prawa międzynarodowego, uznał formalnie rząd sowiecki. Atoli to uznanie nie przesądza wcale o treści i zakresie rzeczywistych stosunków pomiędzy obu państwami. O tem decydować mogą tylko umowy i zobowiązania konkretne, o które toczyły się układy i szły jak z kamienia. Można „uznać" jakiś rząd i jednocześnie dojść do przekonania, że niepodobna z nim dojść do ładu w stosunkach realnych i najlepiej trzymać się od niego możliwie z daleka.

Jak się zdaje obecna Rosja Zinowiewa, Kamieniewa i Stalina wyrabia sobie właśnie taką opinję. Nakaz zasadniczego bojkotu wszędzie upadł lub upada, lecz wszędzie panuje nieufność co do możliwości rzeczywistego zbliżenia i zawiązania ściślejszych stosunków. W tym względzie nader pouczającym był niedawny skandal berliński. Niema chyba dzisiaj dwuch państw tak mocno i widocznie związanym obustronnym objektywnym interesem, jak Rosja i Niemcy. A jednak ściślejszemu zbliżeniu i współdziałaniu obu państw stoi na przeszkodzie nieprzejednana zaciekłość partyjna Rosji, a raczej partji komunistycznej, która nią rządzi. Jak wiadomo, pod osłoną eksterytorjalności misja handlowa sowietów w Berlinie stała się głównym ośrodkiem agitacji komunistycznej, a nawet dopuściła się wykradzenia z rąk policji niemieckiej aresztowanego przestępcy. Skandal ten zmusił rząd niemiecki do definitywnego odmówienia tej misji przywileju eksterytorjalności, co oczywiście będzie nauką i dla innych państw. Sojusz niemiecko-rosyjski,

zainaugurowany jeszcze traktatem w Rapallo, stanowił wielkie niebezpieczeństwo dla Polski i wychodzi to na naszą korzyść, iż znalazł się czynnik, który ten sojusz doprowadza do absurdu i praktycznie uniemożliwia. Chociaż bowiem Niemcy pragnęły go niezmiernie i widzą w nim jedyną bodaj dzwignię ewentualnego podniesienia i odwetu, nie mogą przecież dla dogodzenia Moskwie rzucać się w komunistyczną przepaść, która byłaby niezawodną ruiną ich przemysłu i całej gospodarki. Sojusznik rosyjski okazuje się tu wrogiem, o wiele bezwzględniejszym od nacjonalizmu francuskiego, skoro wymaga od Niemiec wyrzeczenia się walki z miejscowym komunizmem, popieranym przez Moskwę. Takiej ceny nie dadzą za przyjaźń z Rosją nawet Niemcy, którym jest ona bardzo potrzebna. Oczywiście nie da jej również żadne inne państwo.

Dopóki rząd sowiecki nie wyrzeknie się swych metod (t. j. dopóki pozostanie tem, czem jest) wszelkie z nim stosunki muszą być pełne nieufności i ostrożności, czyli z natury rzeczy być nader ograniczone. Nie przeszkadza to formalnemu „uznaniu", które jest koniecznością dla państw sąsiednich i mających bezpośrednie interesy. Nawet zaoceanowa i odległa Ameryka, która do ostatnich czasów pozwalała sobie na luksus nierozmawiania z Rosją, odczuwa obecnie wagę tych interesów. Według ostatnich wiadomości, zbadanie kwestji zawiązania możliwych stosunków z sowietami, jest jednym z celów wycieczki sekretarza stanu Hughesa do Europy.

Atoli od urzędowego uznania, potrzebnego zresztą dla należytej kontroli Rosji, do rzeczywistego obcowania jej z narodami cywilizowanemi droga daleka. Dopóki Rosja pozostanie pod rządem partji komunistycznej, wrogiej z zasadzie wszystkim państwom burżuazyjnym, dotąd możliwe są z nią tylko stosunki ściśle urzędowe i to w bardzo ograniczonym zakresie.

T. G.

Gdzie jest Minister Spraw Wewnętrznych?

Napad na Stołbce rzucił krwawe światło na stosunki, panujące na naszych Kresach wschodnich. Od czasu jak minister Kiernik skasował bataljony celne, strzegące granice, nie powiększając jednocześnie liczby policji, Kresy właściwie są otwarte dla wszelkich bandyckich i dywersyjnych napadów. Państwo — pobierające od obywateli podatki, żądające od nich ofiar, nie zabezpiecza im najelementarniejszej opieki życia i mienia, nie potrafiło uchronić od napadu sowieckiego własnych instytucji. Taki stan rzeczy jest niedopuszczalny. Nie chcemy wchodzić w to jaką akcję międzynarodową w stosunku do rządu sowieckiego należy zastosować, ale wiemy że nie może pozostać przez dwadzieścia cztery godzin na

urzędzie, minister odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa, za rządów którego napad na Stołbce był możliwy.

Czekamy dymisji p. ministra Hübnera.

Chybione „dzieło“ protektora Dmowskiego.

Szósty miesiąc już zdziecinniały megaloman Roman Dmowski poci się nad nudnem, ordynarnem, prostackiem bajdurzeniem, drukowanem w *Gazecie Warszawskiej* naprzemian z elukubracjami dr. Mieczysława Skrudlika pod szumnym tytułem: „Jak odbudowano Polskę“. Z punktu widzenia interesu czystości historji mozolnych lat pracy nad odbudową Polski, jest faktem wielce korzystnym, iż do rąk przyszłych pokoleń trafi ten dokument bezceremonjalnego zakłamania i prostackiej bufonady źle ukrywającej pustkę myślową człowieka, którego przyjacielska legenda usiłowała otoczyć trwałą aureolą jakowychś niebosiężnych, a więc niesprawdzalnych na ziemi, zasług.

Nie można było wymarzyć nic pomyślniejszego nad to wygadanie się z sekretów wielkości swych koncepcji i czynów p. Romana, od których fałsze historyczne oddzielą już badacze doby wojennej, pozostawiając resztę, jeśli z tej selekcji cośkolwiek da się jeszcze ocalić.

W dziedzinie plenienia chwastów fałszu oczekuje przyszłego historyka praca wielce zmudna, a uciążliwa. Trzeba będzie wielkiej energji, by się oprzeć jaszczurczym podchodom pospolitego łgarstwa na zapisane już karty dziejów, uprawianych systematycznie przez całą plejadę uczniów „mistrza“ pod jego osobistym, doświadczonym, cynicznym i brutalnym kierownictwem.

Aktualnie mamy do czynienia z wystąpieniem jednego z zaprzedanych „dmoskwiczan“, odgrywającym z patronem koncert na dwa fortepjany. Dmowski rozpisuje się: jakto „odbudowano Polskę“, a więdnąca muza „grafa Bobrinskija“, „primiernyj redaktor“ Zygmunt Wasilewski wtóruje mu na temat: „Jak przeszkadzano budowaniu Polski?“

Na tle głośnego procesu sądowego Aleksander Lednicki contra Z. Wasilewski, ten ostatni, podchwytując melodję żabiego skrzeku Dmowskiego w potężnym tomie tragicznie płaskich bredni, usiłuje, apoteozując genjusz rasy żydowskiej, wykazać nikczemność tej części społeczeństwa polskiego, która odmówiła pieniędzy na zasilenie bandy pieczeniarzy endeckich brzydzących się pracą, w ich czułym flircie na salonach ministrów i ambasadorów rosyjskich, wywodząc pracowicie, iż pozostawała ona w służbie żydowskiej.

Nie jest dla nas nowością, że ilekroć endekom braknie rzeczowych argumentów na obronę własnych czynów, szukają pocieszenia w piramidalnej teoryjce, że cokolwiekby uczynili,

są przecież lepsi od demokracji polskiej, pozostającej w służbie żydowskiej. Aby tego dowieść, gotowi są nawet rzucić się w wir apoteozy rasy semickiej, której doskonałość jest sceptycznie oceniana nawet przez rozsądniejszych żydów.

Wasilewski osiągnął pod tym względem palmę pierwszeństwa w swym najnowszym „dziele", pisząc o polakach pochodzących z kresów wschodnich, iż „wychowywali się wśród kilku narodowości: słabej, rozcieńczonej polskości lub litewskości, żydowstwa i zwycięskich Rosjan. Pochyłość polityczna ciągnęła ku Moskwie, skąd kierunek. A treść? W tej dobie XIX wieku... ani Polak, tem mniej Litwin treści tej nie dawali. Dawał ją silny, ruchliwy typ żydowski".

Jeżeli autor tej kapitalnej teorji wraz ze swymi przyjaciółmi jest konsekwentny, winien żywić dla tego „typu żydowskiego" głęboką wdzięczność, gdyż treść polityczna, jaką rzekomo dawali kresom, była z polskiego punktu widzenia wysoce dodatnia—zachowała piękny typ polaka kresowego i nie gdzieindziej przecież, jak na kresach, walki wyzwoleńcze 63 r. gorzały najjaśniejszym i uporczywym płomieniem. A tymczasem zwalczają oni żydów, jeśli ci nie są endekami, prawie z takąż gwałtownością, jak obóz demokracji polskiej.

To jest tylko próbka tej metody fałszu i kłamstwa, bez którego p. Z. Wasilewski istotnie nie może się obejść w kiążce omawiającej metody, jakiemi przeszkadzano budowaniu Polski, jeśli w rzędzie przestępców chce pominąć siebie i całą lożę masonerji endeckiej z Dmowskim na czele.

Nic też dziwnego, że wybrawszy tak z gruntu fałszywą pozycję, z niesłychaną dyskrecją przemilcza działalność swego obozu, ograniczając się na pięciuset stronicach druku do takiego frazesu: „Nie kreślimy tutaj dziejów sprawy polskiej, mozolnie przez Komitet Narodowy na jaw wydobywanej. *Zdziałał on wiele, oswajając z nią sfery oficjalne rosyjskie przez umiejętne wyzyskiwanie wpływów na Mikołaja II... Gdyby nie działalność Komitetu, Dmowski nie mógłby w r. 1916 złożyć ambasadorowi w Paryżu Izwolskiemu memorjału, rozwijającego myśl zjednoczenia i niepodległości Polski*".

Trzeba przyznać, że nawet w tak krótkim ujęciu zasług swego obozu około odbudowania Polski, Z. Wasilewski przemycił niemałą rewelację o „umiejętnem wyzyskaniu—przez Komitet Narodowy—wpływu na Mikołaja II". Zdaje się że mamy tu do czynienia z aluzją do tych wszystkich na świecie pisarzy, którzy całą odpowiedzialność za wpływ na Mikołaja II w dobie wojny złożyli na barki Rasputina. P. Dmowski najwidoczniej zamierza w najbliższym czasie wystąpić z pretensjami o udział w tym dziele obok syberyjskiego koniokrada i największego szarlatana ostatniej doby historji panowania Romanowych, a p. Z. Wasilewski przygotowuje mu ku temu grunt, za co zresztą jest płatny.

Nie czekając wszelako wystąpień męża, który „przwiózł— do Warszawy — Traktat Wersalski“ chętnie podejmiemy dyskusję na ten temat, a to dla pełniejszego oświetlenia „dzieła“ „prymiernawo redaktora“, prowokującego refleksje na drażliwe, oczywiście nie dla nas, tematy.

W. Stpiczyński.

Tajemnicze koncesje leśne.

Projekt oddania zagranicznemu konsorcjum prawa eksploatacji perły narodowego bogactwa leśnego—Puszczy Białowieskiej, istniał od dawna i był motywowany fundamentalnym argumentem o konieczności tej tranzakcji pod kątem widzenia sanacji skarbu.

Mówiono nam mianowicie, iż osiągnięte stąd złoto, względnie wysokocenne waluty, będą niezbędnem uzupełnieniem zapasów kruszcu spoczywających w skarbcu państwowym, skąd roztoczą dobroczynny wpływ na całokształt życia gospodarczego.

Rzecz cała pozostawała w sferze projektów, aż nagle drogą okólną, bo przez Anglję, dowiedzieliśmy się iż p. Wł. Grabski na podstawie pełnomocnictw w kwietniu b. r. udzielił definitywnie koncesji na eksploatację kompleksu lasów Puszczy Białowieskiej, Grodzieńskiej (7 leśnictw), Słonimskiej (3 leśnictwa) i Buksztańskiej rzekomemu konsorcjum angielskiemu reprezentowanemu przez Anglika p. Jakóba Caldera. Prawa udzielone przez koncesje trwać będą do dn. 31 marca 1936 r., przyczem, wedle nadziei p. Caldera termin ten będzie prawdopodobnie znacznie przedłużony. Opierając się na źródłach niemieckich koncesjonarjusze na łamach *Times'ów* określają wartość samej Puszczy Białowieskiej na sumę 32 miljonów 800 tys. funtów szterlingów, zysk zaś własny w pierwszym roku eksploatacji obliczają na 125 tys. funtów.

Oczywiście nie znamy bliższych szczegółów umowy, ponad te, które uważali za stosowne ogłosić przedsiębiorcy angielscy w swojej prasie. Jesteśmy bowiem szczególnym państwem republikańskiem, w którem rząd nie uważa za swój obowiązek podawać obywatelom przynajmniej do wiadomości swych decyzji dotyczących majątku narodowego. Obecnie zaś, kiedy wobec pełnomocnictw udzielonych rządowi, w tak ważnych sprawach ustała ingerencja i wola Sejmu, obywateli zepchnięto całkowicie do roli niemych podatników, których się czasem chwali, czasem gani, ale których opinja w ważnych sprawach gospodarki państwowej jest najzupełniej zlekceważona.

Tymczasem ta opinja w sprawie koncesji leśnych byłaby niewątpliwie pomogła rządowi uniknąć fałszywych kroków, o których dowiaduje się, niestety, zbyt późno.

Rzecz naturalna, że tranzakcji finansowych nie zawiera się z ludźmi nieposiadającymi pieniędzy. Oddanie koncesji leśnych obywatelom angielskim, a nie polskim, motywowane było potrzebą natychmiastowego otrzymania znaczniejszej sumy gotówki w wysokocennych walutach, której polscy przedsiębiorcy złożyć nie mogli. Zawarcie jennak dziesięcioletniej umowy z cudzoziemcami również nieposiadającymi pieniędzy jest żywym absurdem.

A tak w istocie rzeczy postąpiono.

P. Jakób Calder nie reprezentuje jakichkolwiek bądź kapitałów i by wywiązać się z zobowiązania wpłacenia do kasy skarbowej do dn. 1 grudnia 1924 r. sumy 800 tysięcy funtów szterlingów, oraz by przystąpić do eksploatacji lasów rozpisał w prasie angielskiej subskrypcję jednofuntowych akcji konsorcjum eksploatacyjnego, zapraszając tą drogą społeczeństwo angielskie do składek na rzecz Polski. Jest w naszem zrozumieniu kompromitacją Polski, by dla pozbycia się swych wspaniałych bogactw leśnych miała za pośrednictwem mało poważnych osobistości upraszać społeczeństwo angielskie o pokrycie ceny kupna w drodze pablicznych groszowych składek. Towar tak frapujący rynek zagraniczny, jak polskie drzewo, mógł być sprzedany poważnemu konsorcjum reprezentującym niezbędne na ten cel kapitały. To zaś co robi p. Calder w Anglji, mogłoby z powodzeniam zrobić konsorcjum polskie we własnem społeczeństwie.

Dla czego tak się nie stało i co spowodowało p. Wł. Grabskiego do tak niezrozumiałego rozstrzygnięcia sprawy, dociec trudno i dlatego trzeba oczekiwać wyczerpujących wyjaśnień ze strony rządu.

w. s.

Działalność „Frankopolu" w świetle potrzeb obrony powietrznej Państwa i interesów Skarbu.

Zapoznawszy czytelnika w szeregu artykułów z metodami realizowania jednej z najpilniejszych konieczności państwowych, a mianowicie powołania do życia przemysłu lotniczego, bez czego nie może być mowy o jakiejkolwiek bądź racjonalnej organizacji obrony powietrznej Rzeczypospolitej — musimy pokrótce scharakteryzować na przykładzie stosunek M. S. Wojsk. a w rzeczywistości jego Departamentu Lotnictwa do tego pierwszorzędnej doniosłości zagadnienia.

Uprzednio wszelako podsumujemy zebrany i ustalony w tej sprawie materjał. Dowiedliśmy więc, iż:

1) francuska *Chambre Syndicale Constructuers d'Aeronautique* już w r. 1919 powzięła decyzję niedopuszczenia do powstania

w Polsce przemysłu lotniczego, a to w celu zapewnienia sobie zbytu własnych aeroplanów na rynku polskim;

2) wobec wyraźnej decyzji rządu polskiego powołania do życia własnego przemysłu lotniczego przedstawiciel syndykatu przmysłu francuskiego p. Saulnier zdołał zorganizować „Polsko-Francuskie Zakłady Samochodowe i Lotnicze“ t. zw. „Frankopol“, którego istotnym zadaniem jest paraliżowanie wszelkich w tej dziedzinie usiłowań rządu;

3) wychodząc z tych założeń przemysłowcy francuscy uchylili się od angażowania kapitałów we „Frankopolu“;

4) M. S. Wojsk. zawierając w końcu roku 1920 dziesięcioletni kontrakt z „Frankopolem“ na dostawę wyprodukowanych w kraju aeroplanów i silników padło ofiarą podstępu. Zawierając umowę z rzekomo polsko-francuskiem towarzystwem, oddało los przemysłu lotniczego w ręce niemiecko-austryjackiej grupy kapitalistów „Enzesfeld — Hirtenberg“ reprezentowanej we „Frankopolu“, przez osławionego Natasona - Leskiego, zainteresowanych na równi z przemysłowcami francuskiemi w paraliżowaniu polskiego przemysłu wojennego, jakkolwiek z innych pobudek, a mianowicie: interesu niemieckiego w bezbronności Polski;

5) umowa M. S. Wojsk. zawarta z tego rodzaju Towarzystwem, dla dekoracji okraszonem nazwiskami paru szanownych obywateli pozbawionych oczywiście wszelkiego wpływu na działalność i politykę „Frankopolu“, przekracza w protekcjonaliźmie wszelkie zasady zdrowej kalkulacji przemysłowej z wyraźnym uprzywilejowaniem przedsiębiorstwa kosztem interesów Skarbu.

Nie wykonalibyśmy swego obowiązku, gdybyśmy nie dodali na usprawiedliwienie M. S. Wojsk. iż posuwając się bardzo daleko w ustępstwa na rzecz „Frankopolu“, starało się ono za tę cenę osiągnąć wielki cel — powołać do życia przemysł lotniczy. Sądzono niewątpliwie, iż nie da się on osiągnąć bez znaczniejszych ofiar i nawet strat materjalnych, opłaconych w rezultacie zapewnieniem Państwu nowoczesnego środka obrony, którego dzisiaj, szerzej rzecz biorąc, nie posiadamy, a bez którego na wypadek wojny podobni będziemy słoniowi ścigającemu sępa.

W tekście umowy z „Frankopolem“ znajdujemy w istocie potwierdzenie tej supozycji, a to w art IV p. 7, który brzmi:

„Dla wykonania danego w art. I zamówienia „Spółka“ obowiązuje się *swoim kosztem* zbudować w Polsce zakłady fabryczne, urządzić je, uruchomić i rozpocząć produkcję w terminach dla: wyrobu aeuroplanów bez motorów *w jeden rok* po zatwierdzeniu umowy; wyrobu motorów w *2 i pół lat* od zatwierdzenia umowy“.

Zważywszy iż umowa była spisywaną przy końcu r. 1920, „Frankopol“ winien był z końcem 1921 r. uruchomić fabrykę

płatowców bez motorów, a w połowie r. 1923 fabrykę silinków. W dniu dzisiejszym fabrykacja winnaby się znajdować w pełnym biegu — problem przemysłu lotniczego byłby realnie i pozytywnie rozwiązany.

Mając tedy na uwadze labirynt tych różowych prespektyw snutych na schyłku r. 1920, możemy do pewnego stopnia zrozumieć conajmniej niewłaściwy protekcjonizm M. S. Wojsk. względem „Frankopolu".

Z końcem jednak 1921 r. kiedy to miał wzbić się w przestworza pierwszy aeroplan zbudowany w zakładach „Frankopolu", po przez dwu i pół zgórą letnie, do dnia dzisiejszego bezpłodne oczekiwanie tego święta, równie dzisiaj odległego jak w dniu podpisywania umowy — był czas na refleksje i wyciągnięcie realnych z nich konsekwencji. Przecież do chwili obecnej „Frankopol" nie tylko nie uruchomił najmniejszych chociażby zakładów umową przewidzianych, lecz w najbliższych miesiącach ani chce, ani jest zdolny je uruchomić. Cztery lata czasu straciliśmy bezpowrotnie, mimo że kosztuje to już Państwo bardzo znaczne sumy wyasygnowane tytułem awansu na zamówienie i olbrzymie wprost sumy na sprowadzany w tym czasie demobil francuski lotniczy, lub wypychanie groszem skarbowym kieszeni „Plage i Laśkiewiczowi" za aparaty, które prędzej lub później trzeba będzie uroczyście wycofać z obiegu— praktyka wykazała bowiem, że nie gwarantują one bezpieczeństwa lotu.

Dzieje się to wówczas, gdy M. S. Wojsk., jak się okazuje, nie jest bynajmniej bezsilne. Oto art. IX par. 31 umowy daje mu taką broń do ręki: „W razie opóźnienia terminów uruchomienia fabrykacji wskazanych w art. IV, z winy „Spółki", podlega ona karze konwencjonalnej po $^1/_2$% od wartości średniej produkcji miesięcznej odpowiednich działów fabrykacji, wymienionych w art. IV za każdy miesiąc opóźnienia po pierwszym miesiącu, 1% za każdy miesiąc opóźnienia po drugim miesiącu, $1^1/_2$% — po trzecim miesiącu. *Po upływie roku opóźnienia z winy „Spółki" M. S. Wojsk. przysługuje prawo, niezależnie od już pobranych kar pieniężnych, rozwiązania niniejszej umowy z winy „Spółki"*, lub też dalszego zaliczenia kary konwencjonalnej $1^1/_2$% za każdy miesiąc opóźnienia.

Jakież tu mogą zachodzić wątpliwości?

Wina „Spółki" w nieprawdopodobnem zlekceważeniu przyjętego na swe barki zadania jest niewątpliwie ustalona. Opóźnienie „uruchomienia fabryki" trwa, jeśli chodzi o aeroplany zgórą dwa i pół roku, i silników — ponad rok.

Zdawałoby się tedy, że nie może być innego dla M. S. Wojsk. wyjścia z sytuacji, jak ściągnąć przepisana karę wraz z sumami wypłaconemi tytułem zaliczki, umowę rozwiązać i zawrzeć inną z poważnem kosorcjum.

Tymczasem ta prosta logika nie znalazła zastosowania w tym wypadku. Umowę wprawdzie uznano za rozwiązaną, ale toczą się pertraktacje o zawarcie nowej. O ściągnięciu kar mowy dotychczas nie było.

W rezultacie „Frankopol" nic nie robi, gdyż słusznie spodziewa się, że po czteroletnich smutnych doświadczeniach M. S. Wojsk. nie zawrze z nim nowej umowy. Inni reflektanci również nic zrobić nie mogą, gdyż nikt z nimi nie pertraktuje. Na słodkich medytacjach upływa sezon letni, w zimowym do budowy przystąpić nie można, w najlepszym więc wypadku można spodziewać się, przy pomyślnych konjukturach, wykończenia fabryki późną jesienią 1925 r., a rozpoczęcia produkcji około 1 stycznia 1926.

Według opinji fachowców fabrykę aeroplanów i silników można wybudować wraz z całkowitą instalacją w przeciągu 6-ciu miesięcy. My straciliśmy na to już cztery lata i obecnie przemyśliwamy jakby skutecznie przedłużyć ten czas ku prawdziwej radości naszych sąsiadów i pośredników francusko-włoskiego demobilu.

Stan ten jest nad wszelki wyraz szkodliwy, a nawet groźny. Odsłania on bowiem w całej pełni systemem zabójczej lekkomyślności czy może uległości wobec jawnych afer w dziedzinie produkcji środków obrony państwa, o której z ust ministrów wysłuchujemy stale tyle pięknych frazesów patrjotycznych, pozbawionych — jak uczy praktyka — wszelkiej wartości praktycznej.

W. Stpiczyński.

Wydawnictwa nadesłane.

ROZBIÓR PANA TADEUSZA JAKO ZAGADNIENIE NOWEJ METODY — *Bronisław Poletur* (ćwiczenia i teorja) str. 36. Wydawnictwo Bibljoteki Naukowej.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.